

LISTY DO REDAKCJI

Wspomnienie o Witoldzie Wolibnerze

Przybycie Wolibnera na Uniwersytet Wrocławski poprzedziła fama, że jest to wybitny, jeszcze sprzed wojny, znawca hydromechaniki. Zjawił się i rozpoczął wykłady, na początku nosząc nieźle brzmiący, ale faktycznie niski w akademickiej hierarchii owych czasów tytuł zastępcy profesora.

Stawiał szerokie kroki, po marynarsku pochylając się nieco z boku na bok, z wysuniętym naprzód podbródkiem, z wyrazem zdziwienia i zarazem ciekawości na twarzy, jak gdyby gotów zadawać pytania, powalany kredą i często nieogolony. To wszystko zdradzało człowieka bardziej pochłoniętego ideami niż dbałością o wygląd zewnętrzny.

W tym czasie byłem już bliski magisterium i nie miałem potrzeby uczęszczania na jego wykłady z analizy, o których jedynie słyszało się, że były nietypowe. Bo po uporaniu się z jedną zmienną przeskoczył wprost do wielu zmiennych, gdzie przeprowadzał pełne subtelności, kompletne dowody. Było to na pewno ciekawe dla lepszych studentów, pozostali natomiast, jak można sobie wyobrazić, musieli mieć z tym duże trudności. Ciekawe, jak ich egzaminował?!

Przypomniał mi się taki fakt anegdotyczny: przybył do nas pewnego dnia nowy student, który rozpoczął studia matematyczne w Bonn w Niemczech, a teraz, po repatriacji, wskoczył na analizę n zmiennych Wolibnera. Zapytany, jak mu idzie, powiedział: „O, wykłady tego profesora są bardzo pouczające, idzie mi doskonale, tylko ciekaw jestem, czemu profesor rysuje od czasu do czasu takie szyjki łabędzie między wzorami, a czasem i po kilka szyjek pod rząd!”

Jeszcze jako student miałem okazję zetknąć się z Witoldem Wolibnerem – egzaminatorem. A stało się to dlatego, że do magisterium brakowało mi jeszcze egzaminu z mechaniki, na który musiałem czekać dość długo, do chwili zjawienia się w zakładzie nowego profesora mechaniki, którym okazał się Witold Wolibner. Prawdę mówiąc, byłem w tej dziedzinie samoukiem, bo wysłuchałem znacznie wcześniej jedynie kinematyki wyłożonej przez „dzia-dzia” Ślebodzińskiego, a co do reszty, to samodzielnie studiowałem z takich

źródeł, jak Whittaker, Hamel, Susłow, Levi-Civita i innych. I spodziewałem się typowego egzaminu: kilka pytań z teorii wraz z dowodami, jakichś typowych zadań znanych z podręczników. Gdy złamałem pieczęcie koperty zawierającej moje pytania egzaminacyjne, byłem zaskoczony. W kopercie znalazłem jedno jedyne pytanie, na które miałem odpowiedzieć, ale jakie pytanie!

To była kwestia zanalizowania i rozwiązania złożonego systemu mechanicznego, w który wchodziły połączone pewnymi więzami wahające się walce, wewnątrz których, z kolei, toczyły się kule, a wszystko to – mój Boże! – poddane ruchowi obrotowemu. A więc trzeba było jeszcze uwzględnić działanie sił Coriolisa! Czy nie dość tego?

Siedząc, jak reguła nakazywała, pod kluczem, zamknięty w gabinecie komisji magisterskiej przez pana Majkę (starszego), zacząłem się potężnie pocić. Niczego tak skomplikowanego nie spotkałem poprzednio w podręcznikach. Nie wiem, jak długo siedziałem tak pod kluczem, przypuszczam że sporo godzin. Ale w końcu uporałem się z zadaniem! I w rezultacie opuściłem salę w stanie euforii, z ogromnym poczuciem dumy.

Należy tu zrozumieć Witolda Wolibnera. Nie był on bynajmniej złośliwy. Wprost przeciwnie, w ten sposób chciał mi dać do zrozumienia, jak bardzo mnie ceni i że mniej trudny egzamin byłby swego rodzaju obrazą dla mojego talentu.

Niewątpliwie Witold Wolibner był nietuzinkową osobowością i to pod wieloma względami. Kiedyś, będąc na wczasach w Zakopanem, poznałem dziewczynę ze Staszowa. Gdy jej zdradziłem, że się param matematyką, wykrzyknęła: „Och, mieliśmy jednego takiego u nas, doktora Wolibnera. Mieszkał tam w czasie okupacji i później. Chadzał na spacerów wzdłuż rzeczki. Podczas spacerów robił jakieś znaki w powietrzu. Był zawsze zamyślony.”

Witold Wolibner był nieformalny nie tylko w ubiorze, ale również w nieprzestrzeganiu różnych towarzyskich konwenansów. Gotów wdać się w pogawędkę z napotkanym asystentem, dzielił się szczerze zasobem swych własnych oryginalnych przemyśleń i aforyzmów na najróżniejsze ludzkie tematy. W nich szczerze wyrażał opinie często zupełnie niekonwencjonalne, czasem brzmiące paradoksalnie i szokująco, ale zawsze ciekawe i warte głębszego przemyślenia. Dość, że wspomnę taki klejnocik, który nazwałbym pedagogiczną doktryną Wolibnera: dlaczego głupi nauczyciel szkolny jest bardziej poważany niż mądry? Ponieważ: (a) uczniowie są głupi, (b) umysł ludzki najlepiej zgadza się z umysłem podobnym do siebie. I stąd odpowiedź.

Częstokroć w takich przypadkowych rozmówkach gotów był z pełną prostodusznością dzielić się osobistymi informacjami o innych profesorach. Bez względu na to, czy ci inni uważaliby to za niedyskrecję, Witold Wolibner nie widział w powiedzeniu jasnej prawdy nic zdroźnego. (Muszę wyznać, że dowiedziałem się tą drogą ciekawych i znaczących dla mnie faktów, które w każdym razie winny były być jawne i które, gdyby nie te rozmowy, byłyby na

zawsze ukryte przede mną). A poza tym Witold Wolibner był istną skarbnicą mało znanych ciekawostek historycznych, raczej mało dostępnych poprzez słowo drukowane. Któż wiedziałby, na przykład, że w Rumunii ktoś, kto uzyskał tytuł profesora uniwersytetu, zyskiwał przywilej bywania u dworu i okazjnego jadania z monarchą! (Choć musiało to być w czasach, kiedy liczba profesorów w Rumunii była jeszcze znikoma).

Jeśli idzie o prace badawcze Witolda Wolibnera, to wspomnę jedynie, że współpracował z młodo zmarłym Janem Zamorskim nad hipotezą Bieberbacha, klasycznym problemem z analizy (za który wielu się brało i na którym wielu połamało zęby). Nie wiem, do czego doszli. I choć sam problem już został ostatecznie rozwiązany (w roku 1984 przez Louisa de Brangesa), ich odwaga, determinacja rozgryzienia tak trudnego zagadnienia, jest już godna uznania.

Witold Wolibner nie lubił pisać recenzji prac, o jakie go proszono, dla niego była to strata czasu. Ja jednak, jako ambitny nowicjusz, byłem chętny to robić. Weszliśmy w umowę: prace przesyłane jemu – on będzie oddawał mnie do recenzowania i będzie to, oczywiście, szło pod moim nazwiskiem. Chętnie na to przystałem ku obopólnemu zadowoleniu.

Niestety, Witold Wolibner został dotknięty dość szybko postępującą chorobą serca. Wraz z żoną, która opiekowała się nim do końca, zamieszkał blisko starego gmachu Politechniki. W swoim mieszkaniu przyjmował studentów i urządził seminaria, od chwili, gdy już nie był w stanie opuszczać domu.

To, co napisałem, to jedynie moje osobiste refleksje. Inni mogą przedstawić Witolda Wolibnera z nieco innej perspektywy i wszystko to złożyć się na bardziej pełny, plastyczny obraz człowieka. Podsumowując, powiem krótko, że dla mnie Witold Wolibner zaistniał nie tylko jako matematyk, ale, i to może w pierwszym rzędzie, jako nieprzeciętny człowiek, rodzaj mędrca czy guru, do którego nauk i obserwacji można przy różnych okazjach wracać, jako człowieka, do którego można było, gdy jeszcze żył, zwrócić się w momencie zwątpienia z nadzieją usłyszenia trzeźwego, pokrzepiającego słowa.

Henryk Fast